ŁOWIEC POLSKI



Niedźwiedź.
Polesie północne, brzeg błota Hryczyń.

Fot. Włodz. Korsak.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 42 (596). 18 PAŹDZIERNIKA 1930 R.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.“:**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr“ — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim“** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy“—3,00 zł. 2) „Polująca Pani“—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa“ — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie“ — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego“. — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego“ 25% rabatu). **„Skowronek“** — 3.60 zł. **„Kruk“** — 4.50 zł. **„Słonka“** — 4 zł.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.
Jako polecone (gdy się wpłaca zgóry) dolicza się 90 groszy.



Dwa byki: 12-tak i 10-tak oraz dzik (wycinek) zabite w Nadl. Państw. Podaniu pow. Chodzież. Stoją Nadl. Woszczyński i Nadl. Hoszowski.
Fot. Wanda Zyberk-Plater.

Rozstrzygnięcie konkursu fotograficznego „Łowca Polskiego".

D. 8 b. m. odbyło się pod przewodnictwem p. Wacława Szperlinga posiedzenie Komitetu Redakcyjnego w celu osądzenia materjału nadesłanego na myśliwski konkurs fotograficzny 1930 roku, ogłoszony przez redakcję „Łowca Polskiego".

Obecni byli pp. K. Czampe, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, W. Kiltynowicz, H. Knothe, W. Zabiełło i sekretarz J. Oreński, oraz zaproszony w charakterze gościa, rzeczoznawca techniczny, p. Jan Kasprzycki.

Na konkurs nadesłano:

1) 2 fotografje pod godłem „Kuropatwa"	(1, 2)	5) 1 „ „ „ „Venator I"	(12)
2) 2 fot. pod godł. „Ptasznik"	(3, 4)	6) 3 „ „ „ „Bez"	(13—5)
3) 4 „ „ „ „Puszcza I"	(5—8)	7) 2 „ „ „ „Gopło"	(16, 7)
4) 3 „ „ „ „Anas boschas"	(9—11)	8) 6 „ „ „ „M. O."	(18—23)

9) 11 fot. p. godł. „Rawicz I“ (24—31)
10) 2 „ „ „ „Wilki“ (35, 6)
11) 7 „ „ „ „Venator II“ (37—43)
12) 12 „ „ „ „Prus“ (44—55)
13) „ „ „ „ „Stasew“ (56—8)
14) 1 „ „ „ „Łask“ (59)
15) 1 „ „ „ „Żulik“ (60)
16) 4 „ „ „ „Ryś“ (61—4)
17) 6 „ „ „ „Morkulla“ (65—70)
18) 4 „ „ „ „„Kopyra“ (71—4)
19) 16 „ „ „ „Wielkopolanin“ (75—90)
20) 1 „ „ „ „Rawicz II‘ (91)
21) 3 „ „ „ „Lis“ (92—4)
22) 21 „ „ „ „Iris“ (95—115)
23) 1 „ „ „ „Reks“ (116)
24) 5 „ „ „ „W. B. R.“ (117—21)
25) 45 „ „ „ „Myśliwiec“ (122—166)
26) 9 „ „ „ „Bossuta“ (167—75)
27) 10 fot. p. godł. „Puszcza II“ (176—185)
28) 3 „ „ „ „Amba“ (186—8)
29) 6 „ „ „ „Janosik“ (189—94)
30) 2 „ „ „ „Jeleń“ (195, 6)
31) 1 „ „ „ „Ars“ (197)
32) 2 „ „ „ „Ricardo“ (198, 9)
33) 1 „ „ „ „Z mszarów kresowych“ (200)
34) 8 „ „ „ „Em Zet“ (201—8)
35) 1 „ „ „ „Pik“ (209)
36) 1 „ „ „ „Dziesiątak“ (210)
37) 1 „ „ „ „Apa“ (211)
38) 1 „ „ „ „Szu Paj“ (212)
39) 1 „ „ „ „Strzał“ (213)
40) 2 „ „ „ „Jowisz“ (214, 5)
41) 3 „ „ „ „Bubejta“ (216—8)
42) 1 „ „ „ „Gola“ (219)
43) 2 „ „ „ „O. P.“ (220, 1)
44) 1 „ „ „ „Mój pierwszy kozioł“ (222)

W wyniku głosowania przyznano:

I nagrodę w sumie 150 zł. godłu „Puszcza II“ za cykl 4 fotografij p. t. 1) „Żórawie, lecące nad mszarem“; 2) „Kaczory na wiosnę“; 3) „Kaczki — białooczki nad leśnem jeziorem“; 4) „Lis na myszkowaniu“.

Po otwarciu koperty, okazało się, że autorem nagrodzonym jest p. WŁODZIMIERZ KORSAK, znany pisarz myśliwski.

II nagrodę w sumie 100 zł. przyznano godłu „Janosik“, za fotografję: „Świstak“.

Autorem jest p. WŁADYSŁAW SULEJA, str. łow. dóbr Fundacji Kórnickiej w Zakopanem (Hala Gąsienicowa).

Trzy III nagrody, po 50 zł., przyznano:

1) Godłu „Puszcza I“ za 4 fotografje bez napisów.

Autorem jest inż. KAZIMIERZ WEISS ze Lwowa.

2) G. „Prus“ za 3 f.: 1) i 2) „Zima 1928-29 na Podolu“ i 3) „Z rykowiska“.

Autorem jest JÓZEF KSIĄŻĘ JABŁONOWSKI z Przyborowia.

3) G. „Kopyra“ za 3 f.: 1) „Kuna“ i 2 bez napisów.

Autorem jest p. A. WIŚNIEWSKI z leśnictwa Choryń w woj. Poznańskiem.

Pozatem w I kat. wyróżniono, jako kwalifikujące się do nagrody, ale nienagrodzone z braku nagród:

Godło „Kuropatwa“, fotogr. „Wysiadująca kuropatwa“ p. Stanisława Choińskiego z Kalisza.

G. „Puszcza I“, za f. „Wilki — 1 miot d. 1/XII 1929 r.“, p. Stanisława Truchanowicza z Lidy.

G. „Żulik“, za f. bez napisu, p. Józefa Dunina Karwickiego z Mizocza na Wołyniu.

G. „Ryś“, za 2 f. bez napisu, generała Stanisława Skrzyńskiego.

G. „Iris“, za 2 f. bez napisu, p. Zygmunta Kurka, sędziego z Gniewu na Pomorzu.

G. „W. B. R.“ za f. bez napisu, p. Włodzimierza Babińskiego z Rosochowa pod Grójcem.

G. „Bossuta“ za 2 f.: 1) „Ambona“, 2) „Na kaczki“ — p. Konstantego Komierowskiego z Żyrzyna w pow. Puławskim.

G. „Amba“, za f. „Tokujący dubelt“, p. Jana Marchlewskiego z Krakowa.

G. „Em Zet“, za 3 f.: 1) „Aleksiej, Maksym i Pawło“, 2) „Bataljon na tokowisku“, 3) „Cietrzew i słonka“, p. Marji Załeskiej z Warszawy.

G. „Szu-Paj“, za f. bez napisu, inż. d-ra Jerzego Szumana z Poznania.

G. „Bubejta“, za f. bez napisu, p. Stanisława Zdana-Michajłowicza z Zawiszcza pod Pińskiem.

Nadto wyróżniono w II kategorji szereg fotografij, których opis podamy w następnym numerze.

Nagrodzone fotografje zamieścimy w numerze ozdobnym na św. Huberta.



O D L O T Y.

Coraz wyraźniej przekwitało lato. Zmęczyła się zieleń w upałach skwarnego lipca. We mgłach wilgotnych i chłodnych matowiał na rosach traw i liści odblask wciąż bledszych świtów. Traciła się świeżość życia, gasła pospołu ze światłem we wczesnych zmierzchach.

Pracą roił się jeszcze i rozbrzmiewał każdy kąt lasu, każdy kierz, nad brzegiem szeroko rozsiadły. Przećwierki ptasze, pogwizdy i kląskania, zrywając się na rozłogach pól, wesołemi stadami rozpraszały się, głośne w gęstwinach. Niepewne, trzepotliwe loty piskląt, dopiero z gniazd wywiedzionych, biły urwanym furkotem z gałęzi na gałąź.

Wolno, wiatrem, nocami, nieuchwytnie naciągała zmiana. Powietrze nasyciła, niebo zawlokła wysokie. na leśny świat szumem powiewów szerokich opadła.

Nagrzanym miodem pachniały południa, liljowym miodem wrzosowisk, źrałą żywicą iglastych zapustów. Wieczory szły nasycone bystrzem wiatru chłodnego, który od łąk opary siwe podnosił i wzdymał szeleszczące morze sitowia i przelewał się ku matecznikowi barwnem, rosnącem bogactwem jesieni.

Ostatnie łany zbóż, przestworzy złotozielonych, padły pod ciosem ostrych półksiężyców. Do leśnych uroczysk wróciła zwierzyna, odkryli jej legowiska, żelaznym turkotem nieuciszonym gnali przed sobą, póki się gęstwy źdźbeł zwartych, nieprzejrzanych, nie pokładły podcięte, póki wreszcie ściernisk suchych nie rozpruły lśniące strumienie lemieszy.

Woń ziemi przeszyła las, wilgotnym, polnym zapachem przeniknęła zieleniste zwarcia, aż się oddech ugorów, rozległych spłazin zoranych, zmieszał z tchnieniem wód przezroczystych i modrych; aż się rozbił o zapaszyste, dostałe słupy powietrza, jakimi parują w słońcu szpilkowe zagajniki, bylina, mchy i wrzosy na gołoborzu, okolonem wstęgą odległych drągowin.

Pożółkły wierzchołki topoli, wiatr złotem nakropił ciemne płaszcze wiązów, dębinę zbroczył rdzą czerwieni. Z tła borów wykwitały ozdobne pęki drzew pełnolistnych.

Ogniami szumiała w okolu zrudziałych oczeretów, matecznikowa wyspa, wrześniowy krzak płomienny, wszystkich barw pełen. Z rozsnutych mgieł, razem z zapachem więdnących liści, dojrzałej żołędzi i bukwi, prądy się jakoweś rozeszły, zwierzowi tylko znajome i wiedne. Przejmowała zwierzyna ich treść, czułymi zmysłami zapowiedź zimy rozumiejąc, każde inaczej. po swojemu.

Na mateczniku już poszarzały sarny z płaziny piasczystej, sierścią gęstą porosły.

Lisom w jamie koło dębu wielowiecznego, młode, wywiedzione latem, chowały się dzielnie i po całem ostrowiu, przeprawiając się czasem wąskimi przesmykami na wyspy okoliczne, myszkowały, że aż robotę ich, zawziętą robotę łakomców, odczuwało boleśnie ptactwo, w oczeretach mieszkające. Spustoszenia nie odczuwał wszakże matecznik. Mnogo było ptaszęcych stad we wszystkich jego gąszczach, a im bliżej zimy, już się na skrzydłach pewnych, nawet najmłodsze, czuły bezpiecznie.

Naokoło kęp, gdzie gniazda opuszczone, rozgwaru i życia było coniemiara. W koronach sośniaku na wzgórzu, czaple zgarbione zanosiły się trzepotem długich skrzydeł, albo nieruchomo, z łowu wróciwszy, trwały siwe wśród ciemnych konarów, ogarniając spojrzeniem nisko podścielone. barwiste jeziora podszytów. Śledziły, brodząc wśród niego, w gęstwach ostoi, szlaki płowej zwierzyny.

Niejedne ptasze gromady, jednocząc się siłą bezwiedną, z dnia na dzień sobie bliższe, pojednane wspólnem, tajemnem przeczuciem, tego samego niepokoju pełne, ożywiały się nagle pragnieniem nieodpartem. Wielkich tęsknot wyraz rósł w nich i potężniał.

Zbierały się trzepotaniem i krzykiem głośne, swarne, rozgwarzone, aby się wreszcie zrozumieć, porwać lotną falą i jedną prowadzone siłą, w kierunku niewiadomym, a jednak nieomylnym wzbiwszy się, wzlecieć — i ucichnąć w przestworzu bez granic.

Rozszumiały się powietrza bezmiary trzepotem skrzydeł niosących swobodnie. Przez szarość albo błękit jesienny, przez pustkę chmurnych dni, lub poprzez złotą mgłę obszarów w słońcu spławionych, gędziolenie i poświst płynął przeliczny, nabrzmiewał, furkotem lotek i piór chrzęstem przeciągał, w głębi oddaleń niknął, jeszcze majaczył, jeszcze przez chwilę załamującą się wstęgą klucza pociemniał na szarej gładzi chmur i już w nie wnikał bezpowrotnie.

Tak poleciały rzesze białoczarnych czajek, bekasów piskliwych, kuligów żałośnie zawodzących, brodźców wszelakich z łąk nadjeziornych. Tak i bocianom, tłumnie zebranym, w podróż wybrać się przyszło. Tak wreszcie żórawie stada, przed szadzią mroźnych poranków uciekając, szlakiem wędrówek podchmurnych ku południu długi lot powiodły. Opustoszały, z drobnych ptasząt odlotem, zieleniste gęszczary krzy, podszyć, zapustów. Niedobitki szpaczych stad ciągnęły bystrym furkotem na nocowanie ku drzewom nad moczarem pochylonym. Już się skończyły o zmierzchu zbierać świrne chmury jaskółek, jak to czasu lata skwarnego bywało, gdy nad wodą goniące, muskały skrzydłami kryształ, mgłami zawleczony, a o zmroku w oczeretach przepadały na sen.

Życie na mateczniku, jakby zacichło. Tyle tylko, że się w ciemnych jałowcach, w zasiekach kalin, żywotnika, trzmieliny, w ciernistych głogach, na gałęziach czerwonych jarzębin, tu i tam wołał świergot i jasne przećwierki; że powietrze głośne było pospolitym gwarem wróblej rodziny.

Owocowały krzewy, pękami jagód kwitnęły łodygi ożyn, z powiędłych łętów byliny, z wiech mietlic wiotkich, wiatr pył ziarnisty rozsiewał.

Wzdłuż pni wodziły się drobne ptaszęta, mysikróle kołysząc gałązkami, pięły się na chybotliwe czubki igliwia.

W szeleście nieustannym liści poschniętych, liści opadłych, czujne ucho mykity, lisa ze spłaziny matecznikowej, dosłuchiwało się myszych zabaw i krzątań pośpiesznych koło zaopatrzenia nor, czerniących między odziomkami, na zimowe niewczasy. Ciszę kłuły

ich piski stłumione, szuścił w zeschłych liściach szybki szelest ucieczki.

Z wypróchlizn popod konarami wysokiego dębu, w których gnieździł się dzięcioł zielony, urywanym furkotem przystrzępionych skrzydeł, do wtóru ostrym pogwizdom, powietrze cięły dzięcioliki tegoroczne, dwa ledwie, ale pospołu z parą rodziców nieustannem postukiwaniem znaczące przez ciszę południ mglistych, czas wolno mijających dni. Wokół pni, na ogonach podparte, biły łebkami w korę, łupały próchliznę, aż od tej roboty zawziętej, a głośnej, wióry spływały zwysoka.

Z pól, z leśnych pustoci, ku wyspie, cirykaniem o zmierzchu szukały się kuropatwy, rozproszone po paprzyskach. Wyrosłe, gromkiemi stadami, zapadały na spłazę ostrowu.

A leszczyny, aż się trzęsły od cmokań wiewiórczych, aż uginały od rudych harców, puszystych przeskoków, od przeganiań wesołych pośród nawisłych bukietów orzeszyn, o słodkiem, białem, chrupiącem w ostrzach gryzoni, jądrze.

Jednostajnie, o tych samych porach, na polanę, gdzie bujne ożyny, gdzie w splotach przekwita zieleń, ciągnęły z przyległych gęstwin sarny na żerowanie, odpoczywały często w podszyciu, niepokojone chyba łopotem grzmiącym, gdy furknął bażant, gdacząc, albo cietrzew, który z gęstwin przyziemnych spłoszony, wykwitał lśniącym granatem.

Jednostajnie wiodło się życie na mateczniku, w obszarach okolnych. Jedyną niespodzianką były dziki, jak burza, prujące głośną trzodą każdy, najbardziej zbity gąszcz, gdy im ochota przyszła ostrów śródłężny za ostoję sobie na kilka dni obrać.

Nocne przeloty ptasze, nieuchwytne, ledwosłyszalne, wiodące górnymi szlaki, przecinały z północy na południe przestworza powietrzne. Niepokojem wypełniały wszystką rozległość ziemi i wód, i zapatrzone oczy, i zasłuchane serca. Bił trzepot tęskniący. Szumiał wołaniem — żeby tylko podążyć, wzlecieć, płynąć tą samą drogą...

Nie może się wypełnić tęsknota. Nieuciszoną, jesień przytłumi niechybnie.

Tylko jeden jest niepokój radosny. Nabrzmiewa już, rosy. Jak błyszczące oczęta zaciekawionego mankie ostępy. Wieści się burzą wiatru po krańce puszcz bezmiernych, niesie potokiem rwącym od gór, skroś matecznika, wokoło, wokoło — bliskich godów jelenich potęgę!

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



W KRAINIE PARDW I SERDECZNYCH LUDZI.

(Zob. Nr. 41)..

Był pogodny, cudny poranek. Dochodziła 9-ta godzina. Słońce zdążyło już wysuszyć obfitą rosę i gdzieniegdzie tylko, w walce z cieniem większej kępy mszarnej trawy, łamało igły swych promieni snopem iskierek w pozostałych jeszcze brylantach kropel rosy. Jak błyszczące oczęta zaciekawionego mangusty, wyzierały ku lazurom niebios i złotu słońca, rubiny żórawinek, które ręka Stwórcy, w trosce o byt skrzydlatych tubylców, szczodrobliwie rozsiała na tych jałowych bezkresach. Wszędy panowała wszechwładna moc ciszy, ciszy bezgranicznej. Blado liljowe, jakby schorzałe wrzosy, niknąc w rozświetlonych błękitach, anemicznym uśmiechem radości życia, naprożno słały w przestwory, woniejący zew... Żaden pracowity, brzęczący stwór nie podąża tu na miodobranie. Na popielato zielonem, ogólnem tle krajobrazu, w naśladownictwie niedościgniony, Boski Mistrz, jakby od niechcenia porozrzucał: coraz to innej wielkości i formy płatki modrego nieba, odbitego w świecących tafelkach niezasnutej zachłannymi mszarami, wody; biało szare w słońcu smugi uschłej drzewiny, sterczącej, jak suche badyle zagonów ściętych słoneczników; długie, ginące gdzieś na horyzoncie, czarne pasma pogorzelisk i ciemno sine, przetkane srebrem powietrza, dalekie plamy „Wołczich", „Dołgich" i innych, przeróżnych nazw, „ostrowów". Hen zaś, w oddali, u krańca przestrzeni jednostajnych mchów, nad cieniuchną, lustrzaną nitką któregoś z większych jezior przesuwały się trwożliwe cienie jakichś majaków, ściganych, czy pędzonych przez niewidoczny dla oka ludzkiego i niezrozumiały dla umysłu, Strach. W niezamąconej niczem ciszy, każdy gwizdek lub okrzyk na psa, wywoływał, zda się, widoczne drgania fal znieruchomiałego eteru o barwach roztopionych w mleku i srebrze turkusów. Nogi tonęły bezszelestnie, często po kolana, w miękkim, uginającym się kobiercu mchów

lub stąpały po kożuchu zbitych traw, które po przejściu z ledwie dosłyszalnem dla ucha sykiem, z powrotem wsączały w siebie wyciśniętą stopami intruzów wodę. Brak było widocznych śladów życia istot ruszających się. Tylko od czasu do czasu, zdradliwy włóczęga bąk, nieoczekiwanie, niczem najostrzejszym lancetem, ciął w kark, dokumentując tem swoje istnienie i obecność.

Szeroko puszczony Trop, zakręcił koło ku rzeczce Padorce i twardo stanął pod krzakiem. Na nieszczęście Wit'ka pokpił sprawę, pakując się w krzak przed psem, i przebiegły wypiór — czerniak poszedł w las bez strzału. Po upływie kilku minut — nowa wystawa: wyprysnął z krzaków już zupełnie czarny murzynek, załopotał skrzydłami po gałęziach, starając się niskim lotem przemknąć bezkarnie wzdłuż rzeczki i, strącony dość dalekim strzałem, spadł kamieniem

go naprzód. Z trzaskiem i krzykiem poderwało się, migocąc białemi skrzydłami, pięknie wypracowane przez psa, niewielkie stadko pardw. Korzystając z dogodnych warunków i sprawności eżektorów, zdążyłem czterema strzałami zestrzelić cztery sztuki. O kilkaset metrów dalej wziąłem z pod stójki, ślicznego „gargatuna" — starego samca, który zawsze prowadzi stadko i opiekuje się lęgową młodzieżą. Znajdujący się w pobliżu moi kompanowie, po złożeniu mi szczerych gratulacyj zaproponowali przegryzkę, na co skwapliwie przystałem. W pseudo cieniu nikłych brzózek rozłożyliśmy swe zapasy wiktuałów i, zasyłając dziękczynienia pieczołowitej p. Wandzie, pierwszy kieliszeczek kropnęliśmy na jej cześć. Uczciwie „wypiwszy i podjadłszy", podkarmiliśmy swe tak dwunogie, jak i czworonożne siły pomocnicze, i postanowiliśmy powrócić do gajówki, odpocząć tam parę go-



Odpoczynek. Fot. Jan Bończa Markowski.

w gąszcz przybrzeżnej łoziny. Polowanie się rozpoczęło. Padło parę strzałów na odcinku p. G., zdobyłem jeszcze dwóch murzynów i wyszliśmy na czysto pardwiane tereny.

Parę godzin psy pracowały napróżno, my zaś sumiennie, lecz beznadziejnie podążaliśmy za nimi, prażeni bezlitośnie z góry coraz gorętszymi promieniami słońca, a z dołu suto podmaczani na coraz więcej zalanych wodą, mchach.

Nareszcie Trop schwycił wiatr, zdecydowanie poprowadził w kierunku odległej o paręset metrów, wysepki wrzosów i karłowatej, rzadkiej brzeziny i, po przejściu jeszcze kilkudziesięciu metrów, zastygł w bezruchu, na wysokiej stójce. Znużony dotychczas bezcelowem deptaniem po mokradłach, z trudem dobrnąłem do twardego gruntu wrzosowisk i wysapawszy się należycie, zbliżyłem się do Tropa, posyłając

dzin, a następnie opolować jeszcze najbliższą miejscowość, przylegającą do t. zw. „Dołgawo Ostrowa". W powrotnej drodze p. J. G. szedł obok mnie, zaś p. W. G. ze swym Ralfem znajdował się o paręset metrów w lewo. Nie zdążyliśmy ujść stu kroków, gdy Trop z zadartym do góry pyskiem, w szalenie szybkiem tempie, ruszył przed siebie, a następnie zamarł raptownie w biegu, ryjąc się przedniemi łapami w piachu. Byłem bliżej, więc podszedłem doń prędzej. W przekonaniu, że pies wyszukał niedobitki z już strzelanego przezemnie stadka, oczekując zbliżenia się p. J. G., głośno przemawiałem do stojącego Tropa czułemi słowami pochwały i zachęty. Byłem za to odpowiednio ukarany, gdyż po zbliżeniu się p. J. G. jak tylko ruszyliśmy z psem, stadko pardw, które prawdopodobnie na dźwięk mego głosu wyciekło w prawo od nas na brzeg wrzosowiska, porwało się

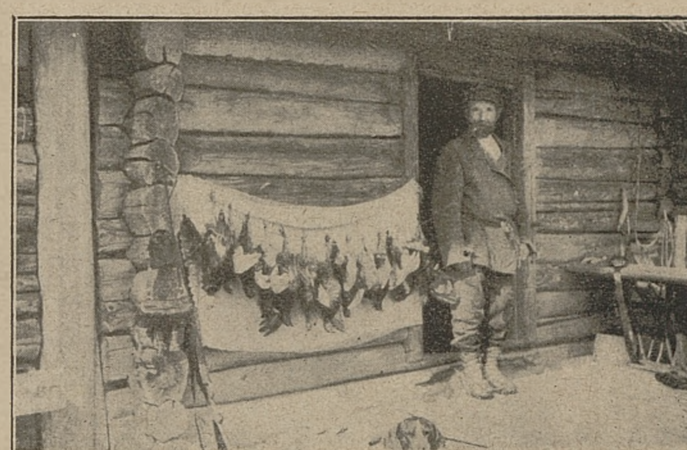
z impetem... Moje dwa strzały okazały się haniebnem pudłem, a p. J. G. pewnym strzałem zwalił jedną młódkę. Mocno skonfudowany, w spojrzeniu swego psa, aportującego cudząc zdobycz, dopatrzyłem się słusznej nagany. Za chwilę poprawiłem swą reputację na opieszałej pardwie, która widocznie przez lenistwo nie poszła ze stadkiem, a którą niezawodny nos Tropa skazał na niechybną zagładę. Nie poszliśmy za stadkiem, które poleciało dość daleko w kierunku „Dołgawo Ostrowa", lecz podążyliśmy do gajówki. Po drodze obaj panowie G. zabili jeszcze po cietrzewiu. Na gajówce, po spożyciu solidnej porcji zsiadłego mleka ze śmietaną, ogórków z miodem, smażonych grzybów i t. p. specjałów domu Czarniewskich, które uporczywie nam zalecała gościnna gajowina, udaliśmy się na wypoczynek. Dwie godziny mocnego snu w szopie na suchem sianie, ogromnie się przydały. O czwartej po południu, po uwidocznieniu przez zdjęcia, Tropa ze zdobyczą (zob. Nr. 41) oraz zdobyczy z Czarniewskim w wyśmienitych humorach z młodzieńczą werwą, wyruszyliśmy na nowe łowy, i na zakończenie pierwszego dnia naszego polowania, zatłukliśmy jeszcze do zmierzchu pięć pardw i siedem cietrzewi. W tym dniu spotkał nas dość przykry wypadek, o którym może nie należałoby wspominać, gdyby nie to, że był powodem poznania ciekawego, miejscowego zabobonu. Przed kilku miesiącami na młodszego syna Czarniewskich napadły wilki. Przerażony chłopak, chociaż wyszedł cało z wilczych zębów, wypadek ten ciężko odchorował. Trzeba nieszczęścia, że wyżeł p. W. G. Ralf nieoczekiwanie ugryzł tego chłopaka. Samo przez się rozumie, że wszyscy okazaliśmy poszkodowanemu jaknajgorętsze współczucie, jednocześnie będąc zaciekawieni czynnościami matki chłopca. Gajowina Czarniewska, niezwłocznie po wypadku wbiegła do chaty, wyniosła miskę napełnioną pływającymi w wodzie, skrajanymi w kostkę, kawałkami żytniego chleba i coś szepcąc, dała psu do zjedzenia. Gdy w misce pozostały rozmokłe okruszyny i odrobina wody, Czarniewska, ciągle coś szeptając, kazała swemu synowi zjeść i wypić pozostałe po psie resztki, następnie bez słowa odeszła od nas. Na moje zapytanie, zwrócone do Czarniewskiego, co to ma znaczyć, ten ostatni dość niechętnie odpowiedział, że to są „odczary od złego" psa (należy rozumieć wściekłego) i że tego, kto czyni „odczary", nie należy pytać o ich znaczenie.

Po kolacji, składającej się z najróżnorodniejszych „dań", których dobór i lekkomyślne przez nas spożywanie wywołałyby u przeciętnego mieszczucha odruch panicznego strachu, omówiliśmy kwestję odwiedzenia nazajutrz dalszych terenów, położonych w okolicach jezior Biereża, Dołgoje, Płoskoje, Jażginia i innych, a następnie udaliśmy się do swej sypialni — wyżej wspomnianej szopy, grzecznie rezygnując z proponowanego przez uprzejmą p. Czarniewską, honorowego łoża w izbie. Puchem łabędzim było dla nas siano, do snu układało nas zdrowe zmęczenie, piosnkę-kołysankę każdemu z nas nuciła własna wyobraźnia, przepełniona przeżytemi wrażeniami, w mojem zaś sercu dodatkowo rozbrzmiewało echo dzwonów, dziękczynnego hejnału dla tych, którzy spowodowali moje przeżycia chwil prawdziwie beztroskich i pięknych.

Wraz ze świtem byliśmy na nogach. Gorąca herbatka, posilna przekąska, ba, nawet jabłuszko, renetka z Ostrowlańskiego sadu, okazały się na czasie i zostały piorunem spożyte.

Objuczeni „sprzętem" i „prypasami" chłopcy oczekiwali nas z długimi kijami do podpierania się, jako że mieliśmy maszerować terenem grząskim i błotnistym. Było pochmurno i chłodno. Po przeprawie przez Padorkę, ruszyliśmy wzdłuż tegorocznego wypaleniska, pozostawiając w spokoju spore stadko cietrzewi, które się poderwało zaraz za rzeczką i zapadło na wczoraj opolowanem bagnie. Jedynie stary czerniak, który się zerwał po odlocie stada, padł od mego strzału.

W ciągu kilku godzin nie mogliśmy trafić na upragnione pardwy. Od czasu do czasu, wcale nie uganiając się specjalnie za niemi, odnajdywaliśmy stadka lub pojedyncze sztuki cietrzewi, z których zatłukliśmy kilkanaście sztuk.



Zdobycz z Czarniewskim.

Pogoda zaczęła nam niedopisywać. Z nawisłych chmur, leniwie przesuwających się nad nami mrzył drobny deszcz, który, jak prysznic, rzetelnie nas zlewał. Po pewnym czasie wyzierało wesołe, roześmiane oblicze słonka, okazując nam swe gorące chęci ulżenia naszej mokrej doli, a za miły kwadransik ciepła znów płaciliśmy nieznośnie upartemu kapuśniaczkowi półgodzinny haracz.

Znudzeni jednostajnością i uciążliwością marszu, postanowiliśmy przeciąć w poprzek część świeżo wypalonych przestrzeni i omijając dotknięte pożarem okolice jezior Biereża i Dołgońkoje, podążyć do brzegów jeziora Jażginia (oryginalna w tej miejscowości nazwa widocznie jeszcze z czasów Wielkiej Litwy?!), nietkniętych tegoroczną pożogą, lecz spalonych przed paru laty. Przejście było długie i ciężkie, jednak dobrnęliśmy do jeziora Jażginia jednocześnie z ostatecznem zwycięstwem słońca nad chmurami i, narazie rozkoszując się potokiem promieni słonecznych, żądni nietylko gruntownego obsuszenia naszych garniturów, lecz i napełnienia skurczonych od głodu i chłodu, żołądków, rozbiliśmy obozowisko, uwiązując do krzaczków ciągle warczące na siebie psy i ze zrozumiałą skwapliwością zabraliśmy się do spożywania darów Bożych. Około 11 godz. przed południem, posiliwszy

się solidnie, obeschnięci i wypoczęci, zaczęliśmy przetrząsać iskrzące się w słońcu, jasno-seledynowe pobrzeża jeziora, porośnięte młodą brzezinką. Puszczone psy w okropnej rywalizacji nacięły się na wprost fenomenalne zbiorowisko pardw. Po za dosięgalnością naszych strzałów porwało się kilkadziesiąt sztuk spłoszonych przez psy. Wynikłe następnie, zamęt, hałas i karcenie psów, dały nową porcję podrywu 20 — 30 sztuk pardw i stadka cietrzewi, głośno, lecz bez skutku odsalutowanych przez niefortunnych strzelców... Zdenerwowanie piesków mackami swemi dosięgło i myśliwych. Lecz prędko u psów przygasł temperament, myśliwym zaś powróciła pogoda ducha i zrównoważenie. Zaczęła się rzetelna praca pierwszych i prawdziwe używanie drugich. Nie bacząc na to, że literalnie skwierczeliśmy od panującego gorąca, zdobyliśmy w ciągu niecałych paru godzin, kilkanaście pardw, sporo cietrzewi i jedną kaczkę, która porwała się z wrzosów i padła od strzału p. J. G. Gdyby nie wniosek p. J. G., aby zaniechać dalszego pogromu i wracać do gajówki, gdyż musimy za widna przejść przez golgotę powrotnej, przez las, drogi do Ostrowlan, moglibyśmy z pewnością zwiększyć kilkakrotnie liczbę naszych trofeów.

(Dok. n.). ST. SKRZYŃSKI.



JESIEŃ.

Nadeszła jesień, ta jesień polska, pełna uroku i czaru. Na dworze chłodno, wiatr świszcze coraz to więcej i mocniej. Na niebie kłębią się szare chmury, z których wytryskają krople deszczu, i spadając, giną w rozmiękłej ziemi. Drzewa nagie, ogołocone z liści, stoją ponure i samotne, zasłuchane w ten poświst wiatru, wiejącego ze wszech stron. A jednak jak piękny i miły jest ten czas, jak pełen pięknych obrazów i wrażeń.

Korzystając z parodniowej przerwy świątecznej, wyjechałem do domu na wieś, aby nasycić się pięknem jesieni i zapolować. Już w wagonie, myśli moje były hen... daleko. Słyszę już strzały myśliwych, głosy naganki i ujadanie psów. Z niecierpliwością oczekuję końca tej podróży. Dla skrócenia czasu, przyglądam się obrazom przesuwającym się przed oknem wagonu. Pogoda była ładna. Pola, łąki, lasy przesuwają się przed oczyma, jak jakaś wspaniała panorama, a wszystko skąpane w złocistych promieniach łagodnie świecącego słońca i wszystko takie piękne, takie swojskie. Nagle ostry świst lokomotywy obudził mnie z marzeń; zdaleka zarysowały się kontury zabudowań stacyjnych. Jeszcze godzina jazdy nędzną bryczuszką, po drodze pełnej wyboi, i z twarzą rozradowaną wchodzę do domu, witany przez gromadkę najlepszych moich przyjaciół — wyżłów.

O, bo ja bardzo kocham psy. Najbardziej lubię swego pointra „Marsia", który odznacza się piękną budową, oraz wielką mądrością. Minęło już parę lat, jak jesteśmy razem. Lubimy się i znamy bardzo dobrze. Zmienia się to i owo, ale nasza przyjaźń trwa niezmiennie. Na iluż spacerach i polowaniach byliśmy razem, iluż doznaliśmy przygód. On zawsze mnie rozumie, a ja jego.

Na drugi dzień postanowiłem skorzystać z ładnego czasu i wyruszyć choć na „pomyka", gdyż na żadne większe polowanie nie zanosiło się.

Pogoda nie zawiodła; od rana pokazało się słońce, przedzierając się poprzez ranne mgły. Zapowiadał się ładny dzień. Mój Marsio ani na chwilę mnie nie odstępował, przeczuwając, że się gdzieś wybieram. Postanowiłem go wziąć z sobą, gdyż nie wątpiłem, że spotkam parę kur. Przewiesiwszy flintę przez ramię, wyruszyliśmy pełni wiary w powodzenie. Ładny i pogodny czas dodawał otuchy i napełniał serce radością. Mars, na dobrą wróżbę zaczął się tarzać i wywijać ogonem. — Będzie trup. pomyślałem i pełen otuchy, ruszyłem w pole. Wilgotna ziemia, głęboko znaczyła ślady naszych stóp, zapadających się mocno w rozmiękłą glinę. Po pewnym czasie zaczęło się robić cieplej; słońce wzbiwszy się wysoko, dogrzewało mocno, napełniając cały świat miłem, jesiennem ciepłem. Słaby wietrzyk łagodnie muskał po twarzy i jakby zachęcał do dalszej drogi. I tak, gdyśmy szli, nagle z podorywy wyrwał się młody „kociak" i w śmiertelnym strachu począł uciekać. Choć odległość była nieco zadaleka, jednak nie mogłem się powstrzymać, aby nie palnąć do niego, co prawda, bezskutecznie. Teraz jednak zacząłem bardziej uważać. Szliśmy już tak ze trzy godziny, bez żadnego rezultatu, gdy nagle dochodząc do pobliskiego lasu, Mars robi prześliczną stójkę. Jego muskularne nogi zaryły się głęboko w ziemię. Na jego ciele wyprężonem, jak struna, widać niemal każde ścięgno, każdą żyłkę drgającą z wrażenia. Stoi, jak wykuty z bronzu. I tylko co-raz obraca swój łeb zwolna w moją stronę i patrząc swemi mądremi oczyma, daje znać, że tu coś jest.

— Napewno „kot", pomyślałem i każę mu iść dalej. Ku memu jednak zdziwieniu, zrywa się z szumem i łoskotem duże stado kur. Huknęły dwa strzały i dwie ofiary spadły na ziemię. Z radością podnoszę je i przytraczam do torby.

Nie uszedłszy kilkudziesięciu kroków, Mars znowu staje. Tym razem wyrywa się stary kogut i pierwszy strzał go chybia, dopiero za drugim spada, a Mars wywijając radośnie ogonem, przynosi go do mnie. Ucieszony z tej zdobyczy, zawróciłem ku laskowi, aby chwilę odpocząć i posilić się. Las stał spokojny i cichy. Poprzez nagie, suche gałęzie przedzierało się słońce i łagodnymi promieniami odbijało się na pniach drzew. Dookoła leżały zwiędłe i zżółkłe liście, które teraz oświetlone jasnymi promieniami, wyglądały jak jakiś złoty kobierzec. Lekki wietrzyk igrał po gałązkach, zdmuchując resztki liści, które kręcąc się, spadały na ziemię. Skądciś dochodził głos jakiegoś zabłąkanego ptaszka, lecz po chwili ucichł. Usiadłem pod drzewem, Mars zaś począł biegać po lesie i dopiero po chwili z wywieszonym językiem legł koło mnie.

— Tak Marsiu, ty jesteś moim najlepszym i najwierniejszym przyjacielem, na tobie się nigdy nie zawiodę, prawda?

A on jakby na potwierdzenie tego, położył mi swą głowę na kolanach i wpatrując się we mnie, machał radośnie ogonem.

O, jakżeż przyjemne jest to włóczenie się po polach i lasach, to obcowanie z naturą. Jak miło jest oddychać choć przez chwilę świeżem powietrzem, odsunąć się od przykrości życiowych, od tego, co serce i duszę rani. Pozbyć się wszystkiego i być samemu, ze swemi tylko myślami. To właśnie zapomnienie o wszystkiem, chociażby chwilowe, działa kojąco na nasze smutki i zmartwienia, rozwesela, dodaje chęci do życia, jest miłe i upajające. Cóż może być milszego i przyjemniejszego?

— — — — — — — — —

Po pewnym czasie, odpocząwszy, udaliśmy się dalej, szukać szczęścia. Już zacząłem wątpić, czy co spotkam, gdy naraz, prawie z pod nóg, porwał się szarak. Nie uleciał daleko, wywrócił kozła od pierwszego strzału. Radość i otucha wstąpiły na nowo we mnie. Zając był ładny i duży. Musiałem jednak zawrócić ku domowi, gdyż na dworze zaczęło się robić szaro, a na dobitkę pogoda się popsuła. Słońce gdzieś znikło, a na miejsce jego napłynęły szare, ciemne chmury, które kłębiąc się i borykając z sobą, nie wróżyły nic dobrego. Również i wiatr się wzruszył silniejszy i pędząc przez puste pola, unosił zeschłe liście i gałęzie. W powietrzu wisiał deszcz. To też postawiwszy kołnierz i mniej uważając, przyśpieszyłem kroku. Po drodze napotkałem jeszcze małe stadko kur, z którego udało mi się zastrzelić jedną sztukę. Byłem daleko od domu i dobrze już zmęczony całodziennem chodzeniem, więc szedłem dość wolno; wieczór rozpoczął się już na dobre, a ja się jeszcze wlokłem. Lasy i pola otulał już płaszcz opadającej mgły, która z początku rzadka, stawała się coraz gęstszą, ciemniejszą, aż zlała się w jedną szarę masę z pochmurnem niebem. Cienie drzew rozciągnęły się na ziemi, w kształcie dziwacznych znaków, cały świat zmęczony, układał się do snu, a nad nim unosił się mrok i cisza niezamącona niczem. Słabe światełka migające z pośród mgły wieczornej, oznajmiły mi, że nareszcie dochodzę do celu.

ZBIGNIEW WÓYCICKI.

WŚROD HUCUŁÓW I JELENI.

(Zob. Nr. 41).

Klucz, to dość duże, drewniane narzędzie z misternie powycinanemi zazębieniami, na wzór klucza angielskiego. Inaczej wyciętym kluczem, wejścia do danej stai otworzyć nie można. Jesteśmy już blisko, a że robi się szaro i potykam się o drut kolczasty, którego tu dużo wszędzie spotkać można, więc już przy świetle latarek elektrycznych dochodzimy do chaty, a Michajło wiercąc zawzięcie kluczem w rozmaite strony, w końcu drzwi otwiera. Oświecamy wnętrze: dość czysto; ławy przy ścianach do spania.

Drzewo suche na miejscu, więc zaraz ogień roznieciono; trzaska wesoło i oświeca do czynności związanych z przygotowaniem pościeli. Siano suche, pachnące blisko, na ławach je rozściełamy. Próbując, czy wygodnie, wyciągnąłem się i dłużej niż trzeba, leżałem, prostując zmęczone nogi. Czas pomyśleć i o posiłku, więc wstaję, aby rozpakować manatki; deski na półeczki znalazły się i rzeczy wygodnie można ustawić, by wiadomo było, gdzie czego szukać. Ognisko pali się na środku izby, która podłogi nie ma wcale, komina również ani też okna. Dym tylko szparami w ścianach i dachu wychodzić może, przeważnie zaś napełnia chatę, gryzie w oczy, a silniejsza fala, pchnięta przeciągiem wiatru, dusi, przeszkadzając oddychać. Im niżej ma się ulokowaną głowę, tem mniej dym dokucza. Pomimo wszystko, miło jest wyciągnąć się po zmęczeniu, na przygotowanem posłaniu, co też uczyniłem, obserwując, jak dokładane drzewo na ognisku obejmuje chciwie płomienie, rozświetlając wnętrze izby, i barwnych hucułów krzątających się obok.

Przy ognisku, jak zwykle, jest słup drewniany z poprzeczną zaprawioną na wysokości człowieka szponą, do której uczepiony jest żelazny hak wiszący lub zwyczajny drut służący do wieszania naczyń; wszystko to daje się pokręcać na drewnianym słupie, zależnie, gdzie trzeba naczynie nad płomień umieścić; bardzo szybko gotuje się woda w imbryku blaszanym i herbata gotowa; popijam nią parę przekąsek i na dziś kolacja wystarczająca.

Wychodzimy przed chatę posłuchać, czy przy cichej pogodzie nie usłyszymy jakich ciekawych odgłosów. Wieczór jest cudowny; cisza; wiatru prawie wcale; słychać bardzo oddalone szczekania psów

z odległych połonin, gdzieś z Tarnoczki i Łukawicy; powietrze świeże, czyste, spokojne; tylko w dali potężnej głębi lasu, jakby senne przechodzą szmery.

Siedzieliśmy dość długo; myślę, jak daleko jestem od domu, gdzieś jak proszek wśród potężnej przestrzeni gór, które tajemniczo zasypiają, nie chcąc wyjawić, jakie mają dla nas w tym roku niespodzianki. Planując czynności na jutrzejszy ranek, idziemy spać.

Drzwi skrzypiące z wielkim hałasem na prymitywnych zawiasach, zamykamy za sobą i bardziej lub mniej gruntownie rozbierając się, wyciągamy się na posłaniach.

Wstać mamy rano, przed świtem; ja idę z Wasylem na podsłuchy, Makowiej sam w inną stronę, a Michajło pilnując siedziby, słuchać ma na miejscu.

Ogień podsycany zostaje co czas jakiś nowym, smolnym kawałkiem drzewa, kiedy zacznie przygasać; watrakiem na razie jest Michajło.

Dym prawie że nie dokucza, spokojnie unosząc się w górę, tam napełnia całe poddasze zczerniałe od sadzy i przesiąka szczelinami dachu na zewnątrz.

Spałem świetnie, budząc się wprawdzie chwilami, gdyż pierwsza to noc w tym roku w podobnych warunkach; korciło mnie, czy żarzące się węgielki i skry rozrzucane pękającym ogniem, nie zapalą siana; temu, że Michajło miał czuwać nad bezpieczeństwem naszem, — nie dowierzałem. W nocy otworzywszy oczy w pewnym momencie, widzę nad ogniskiem obrazek: Michajło goły — stoi oświetlony ogniem, trzyma ubranie, a drugą ręką, z utkwionym badawczo wzrokiem chwyta w punkt upatrzony i nad ogniem przebiera palcami; domyśliwszy się celowości tych ruchów, nie wszczynając rozmowy, zasnąłem znowu.

Po dłuższej chwili budzę się, usłyszawszy jęki Wasyla i złorzeczące szemrania; otwieram oczy, kiedy i on stał już goły przy ogniu; kładzie ręce w spodnie i wywraca je lewą stroną do góry, poczem powtarza ruchy Michajła, mrucząc przy tem ochryple i złośliwie.

Michajło zaś, na przeciwko, trzyma już nad ogniem koszulę, szepcząc donośnie; narzekają wspólnie, a widząc, że nie śpię, objaśniają mi, iż zostali napadnięci przez robactwo „blechy", pchły — na ostatnim noclegu obok leśniczówki. Makowiej dzielniej znosił to wszystko od towarzyszy, gdyż czasem tylko mruknął, podrapał się i sapał dalej.

Do szczęśliwie oddalonego mego posłania „blechy" nie dotarły jeszcze; chodziło coś lekko po mnie, ale wmawiałem w siebie, że to robaczek z siana. Trochę oczekując, czy nie zostanę zaatakowany, wreszcie usnąłem i dopiero zbudziło mnie ranne wstawanie ludzi.

Po herbatce wychodzimy, kiedy jeszcze dopiero świtać zaczyna; mamy niedaleko, dojść trzeba do wgłębienia tak zwanej „jamy", gdyż ryczącego tam jelenia słychać byłoby dopiero tuż nad jamą z powodu falistości terenu.

Nie było to daleko, jednak godzinę iść musieliśmy; tam, siadłszy wygodnie na pieńku, gdzie Wasyl podesłał gałązek świerkowych, oparcie miałem naturalne: z pozostałej przy pniu, niedopiłowanej cząstki kloca.

Ranek trochę chłodny, ale cicho jak wieczorem, i pogodnie; choć mi wygodnie i mógłbym się po niewyspanej nocy zdrzemnąć, mając obok czuwającego Wasyla, jednak zachwycony widokami interesującymi, wybiłem się ze snu.

Góry budzą się na tle coraz jaśniejszego nieba w rozmaitych kolorach coraz wyraźniej i coraz dalsze kontury ich szczytów zarysowują się.

Coraz widniej zielenią się już zagłębienia najeżone świerkowymi lasami, a nad nimi pływają mokre mgły, w kształcie większych i mniejszych chmur, opadając, w części wsiąkając w las, lub giną, ciągnąc w dal; nadchodzą nowe, innej formy i zabarwienia, większej masy i wagi; kłębiąc się, suną nad lasem.

Robi się coraz jaśniej, widać już zieloność lasu odkrywanego przez ginące mgły i punkciki osiedli ludzkich, porozrzucanych w dolinie Czeremosza, do której sięga lesistym dywanem stok góry, na której szczycie siedzimy.



Droga przez płaj. Fot. Wład. Müller.

Wiedziałem o położeniu naszem względem Czeremoszu, ale niespodzianką było stwierdzenie, że domek, który widzę, jest naszą leśniczówką; przez lornetkę upewniam się, rozpoznając wygląd domu, otoczenie, a i Wasyl utwierdza mnie, że się nie mylę. Znowu złudzenie w przestrzeni i zdziwienie, że iść trzeba tak daleko, kiedy to tak blisko pozornie. Dzień już zupełny, Wasyl pokazuje mi dalsze szczyty Czarnogóry, Popa Iwana, Stajki — widać je coraz wyraźniej. Na Czarnogórze bronzowo-zielone plamy kosodrzewiny widać jak pleśnią pokryte place.

— Tam w lewo Ruskij Dił, Radul i t. d., tam wskroś tože je rykowisko, no tam już terena innych paniw — objaśnia Wasyl.

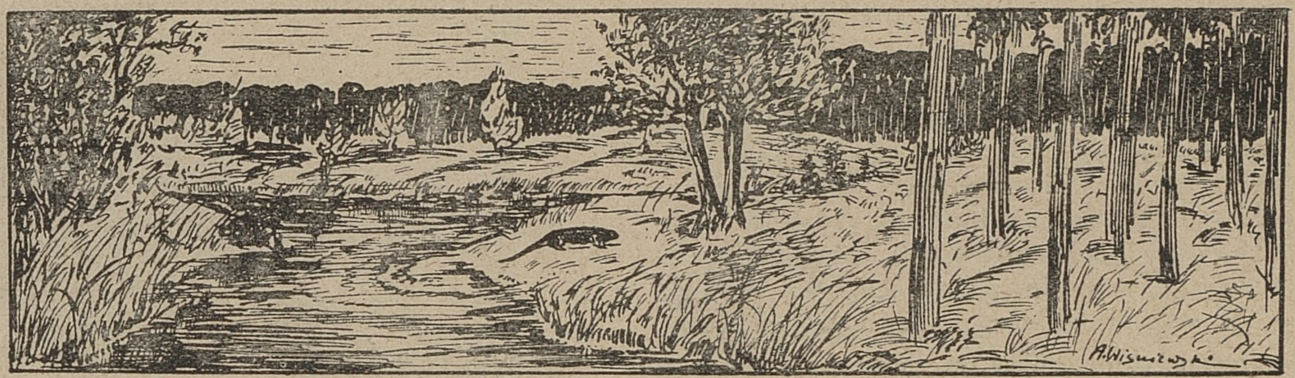
Co chwila obserwuję bliskie otoczenie i wypatruję uważnie po kolei każde, znane już miejsce i wyobrażam sobie, jakby wyglądał jeleń na tej lub innej po-

lance; jakbym mierzył do niego! Wasyl także uważa i nadsłuchuje, czy nie dochodzi nas głos jelenia; czasami „towar“ odezwie się gdzieś, co w pierwszej chwili zmusza do nastawienia ucha, ale niestety, rozpoznajemy pomyłkę. Nic ciekawego nie widać i nie słychać. Słońce podniosło się już wyżej i poczęło przygrzewać. Dla rozrywki, coraz mniej zachowując ostrożność, porozumiewamy się z sobą i w końcu, straciwszy wszelkie nadzieje, wstajemy z wygodnych miejsc i omijając okopy, opasane drutami, dostajemy się do ścieżki, która wkrótce wprowadza nas na połoninę. Malowniczość widoków potęgują plamy jasne słońca, które, gdzie mogło, przebijało się przez chmury i mgły i rozświecało wesoło, mokry od rosy, krajobraz.

Przy świetle dziennem widać teren, porżnięty rowami strzeleckimi, a przy nich nadmiar drutów, które jeszcze nie zostały użyte przez huculów. Wszystkie płoty na połoninach, po granicach poszczególnych właścicieli, są tu z drutów kolczastych, kilkoma rzędami rozciągniętych na słupach, jak również nocne zagrody dla inwentarza; choć umyślnie gęsto najeżone kolcami, mimo to wilki, a nawet niedźwiedzie radzić sobie potrafią i do wnętrza dostają się, wyciągają owce i unoszą w las. Przy okopach, rozciągnięte na kołkach sterczących, jeszcze miejscami niezgniłych, lub rozciągnięte na ziemi leżą razem ze spróchniałymi już kołkami, tworzą pułapki dla ludzi i bydła, a podobne zasieki znajdują się w lesie, gdzie utrudniają swobodę zwierzynie, a wilkom ułatwiają ściganie jej.

Skłębione stosy drutów rdzewieją, zwinięte przez kogoś, a nie zabrane jeszcze; ślady te, jak również głębokie doły wyrwane przez granaty, przypominają, że i tu była wojna, i wzbudzają podziw, że tu ludzie chcieli lub musieli wojować, na terenie tak trudnym i ciężkim, wciągając nawet armaty na szczyty gór, po specjalnie sporządzonych drogach w tym celu, ułożonych z okrąglaków; droga ta, zygzakiem wijąc się przez lasy, łączy połoninę z traktem nad Czeremoszem, obecnie zepsuta już coraz bardziej, a pastuchom i myśliwym małą korzyść daje.

(C. d. n.). ST. LESKI.



STRZELANIE KULĄ W LOT.

Tak samo na łamach pism łowieckich, jak i w rozmowach z najbardziej kulturalnymi myśliwymi, którzy potarfią traktować swe umiłowane zajęcie nie z punktu widzenia ilości zwierzyny zabitej, lecz pod względem rozkoszy doznanej, trudów poniesionych i jakgdyby walki z dziką przyrodą oraz ze zwierzyną, przyczem odczuwają pragnienie stoczenia tej walki z niezbyt wielką przewagą po swojej stronie, dając tej zwierzynie pewne, poważne szanse, — słyszy się odezwania: strzał śrutem jest za pewny i za łatwy, tak samo do zwierzyny czworonożnej w biegu, jak i do ptaków w lot piękniej byłoby strzelać kulą.

Teorje te bywają od czasu do czasu wprowadzane w praktykę, zdarzają się wypadki, iż polowania na zające w kniei odbywają się pod zastrzeżeniem „tylko kulą“, — zdarzyło to się w pewnej, bardzo znanej kniei małopolskiej w roku zeszłym, trafiają się nawet niekiedy myśliwi, którzy potrafią wyrzec się broni śrutowej do ptaków i używają jedynie kuli. Wypadki takie należą jednak do niezmiernych rzadkości, bywają raczej zaliczane do legend i bajek, do „łaciny myśliwskiej“, a pobożne życzenia pozostają jedynie życzeniami. Ponieważ od lat kilku kwestją tą, właśnie z wyżej wspomnianych powodów, zainteresowałem się głębiej, i na temat strzelania kulą do zwierzyny w ruchu (ma się rozumieć, zwierzyny drobniejszej) zebrałem trochę, bardzo skąpego, niestety, materjału, pragnąłbym rzeczy te dzisiaj poruszyć, a równocześnie wywołać dyskusję, która ze sfery legend może wyciągnąć wiele ciekawych przykładów.

Strzał kulą do celów ruchomych jest rzeczą zupełnie pospolitą przy polowaniu na grubego zwierza w kniei, jest nawet, rzec można, prawidłem obowiązującem w stosunku do dzika i w większości wypadków, rogacza. Dobre strzelanie w tych właśnie warunkach, w kniei, na wąskiej linji, na nieduże odległości: średnio 50 metrów, ale niekiedy znacznie dalej, do celów dużych, poruszających się szybko, bywa uważane za szczyt doskonałości w strzelaniu myśliwskiem, toteż każdy myśliwy, słysząc o nadzwyczajnych rezultatach osiągniętych przez sportsmenów, ale nie łowców, do tarczy nieruchomej i na duże odległości, nie może nie odezwać się z przekąsem i ironją: „chciałbym go zobaczyć w kniei“. Ma on przytem słuszność zresztą przeważnie, gdyż celne strzelanie do przedmiotów nieruchomych jest zaledwie początkiem sztuki strzelania i najlepszy strzelec tarczowy, niemający praktyki do celów ru-

chomych, w warunkach kniejowych może się okazać w miocie, beznadziejnym fuszerem. Z drugiej zaś strony żaden strzelec „szybki", myśliwski nie jest złym strzelcem do celów stałych, może być tylko mniej lub bardziej wyrobionym.

W strzelaniu w kniei istnieją dwie szkoły, zwalczające się dosyć usilnie, między któremi cały rozdźwięk i różnica zdań polega jedynie na nieporozumieniu. Szkołę pierwszą nazwałbym szkołą szybkiego, ale dokładnego celowania przez muszkę i szczerbinę; szkołę drugą — strzału po szynie. Na łamach pism łowieckich toczyły się już niejednokrotnie między temi szkołami poważne dyskusje, jedni przeczyli możliwości strzelania szkołą drugich, i na odwrót; postaramy się jeden raz więcej kwestje te wyjaśnić szczegółowo.

Podług szkoły pierwszej, strzał do zwierzyny w galopie polega na bardzo szybkiem, ale stosunkowo dokładnem wycelowaniu za pomocą muszki i szczerbiny. Jej zwolennicy przeczą możliwości strzelania kulą — do pewnego stopnia tak, jak śrutem, a więc bez szczerbiny, rzucając jedynie całą bronią na cel i ściągając ostro spust w chwili, gdy muszka znajdzie się na komorze lub przed nią. Tutaj spotykamy dążenie do ułatwienia i uproszczenia kwestji celowania, która jednak jest uważana za konieczną, skutkiem czego spotykamy często w użyciu muszki kuliste, dosyć grube, wyraźnie widoczne i łatwe do uchwycenia dla oka, często powleczone od strony strzelca masą białą, srebrną, a u strzelców amerykańskich i kanadyjskich złotą lub czerwoną (po to, aby muszka się świeciła, a nie zlewała na biało z tłem śnieżnem) oraz szczerbiny, bądź to bardzo szeroko wykrojone w kształcie otwartego V, bądź to wycinane w kształcie narysowanym poniżej, w celu ułatwienia szybkiego złapania muszki i zaprowadzenia jej do dna szczerbiny.



1. 2 3.

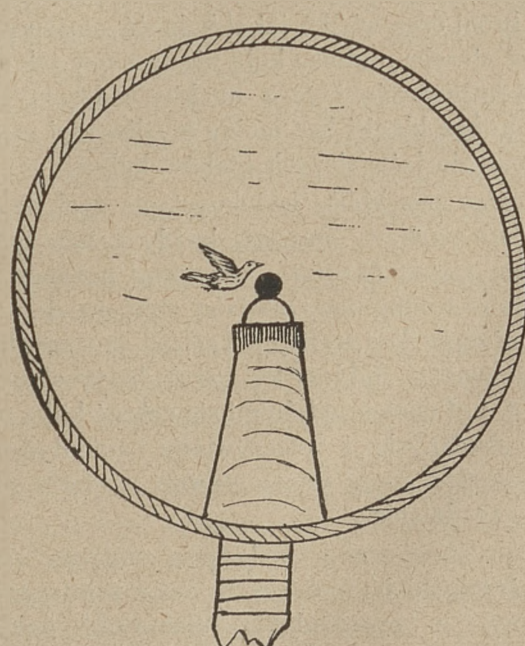
Takie urządzenia celownicze spotykamy dzisiaj na wszystkich, lepszych sztucerach myśliwskich i trójlufkach; są one uważane za niezbędne.

W ostatnich czasach pojawiły się w tej dziedzinie nowe myśli i kierunki, w wyniku których niektórzy specjaliści strzału kulą odrzucają bezwzględnie szczerbiny o głębokiem wycięciu, przedstawione powyżej, twierdząc, iż one są bardziej szkodliwe niż pożyteczne, dzięki temu, że wysokie, a nieużyteczne krawędzie (a,a) zasłaniają pole widzenia i ułatwiając złapanie muszki, ułatwiają także bardzo znacznie zgubienie celu. U strzelców myśliwskich na Międzynarodowych Zawodach o Mistrzostwo Świata w roku zeszłym w Sztokholmie widziałem już inne kombinacje, znane mi zresztą poprzednio z literatury amerykańskiej. Są to bądź zwykła muszka kulista o złotym czubku na możliwie wysokim trzonie (szyna zasłaniałaby pole widzenia) i szczerbina o zwykłem, niedużem wycięciu w kształcie U, lub też szczerbina bez żadnego wycięcia w kształcie płaskiej listwy, do której należy tylko doprowadzić muszkę, znajdując na oko środek niekiedy oznaczony białą kreską lub trójkątem (to właściwie już jest strzelanie po szynie), bądź to znowu kombinacja muszki Lyman'a narysowanej poniżej, oraz przeziernika o dużym otworze i bardzo wąskim pierścieniu. To ostatnie urządzenie po wypróbowaniu i nabyciu pewnej wprawy okazuje się rzeczywiście nadzwyczaj szybkiem i praktycznem, albowiem muszka osadzona na dwuch półkolistych prętach, zamiast jednego, nie zasłania celu od spodu (otwór pod muszką nie odgrywa żadnej roli przy celowaniu) zaś przeziernik, mając duży otwór a będąc blisko oka, daje się uchwycić o wiele prędzej od szczerbiny, daje większe pola widzenia i zupełnie celu nie zasłania, zapewniając równocześnie precyzję celowania o 50% większą.



4. 5 6.

Przejdźmy teraz do szkoły „po szynie". Jej zwolennicy twierdzą, iż broń ostrzelana tak samo, jak strzelba śrutowa, t. j. bijąca w punkt położony bezpośrednio nad muszką wtedy, gdy strzelec widzi w perspektywie muszkę i bardzo krótki kawałek szyny między lufami, jest szybsza i pewniejsza, a równie celna, jak wszelkie sztucery zaopatrzone w takie czy inne szczerbiny. Oczywiście cała sztuka w tym wypadku polega na bardzo wielkiej składności broni i zupełnem zżyciu się strzelającego z nią; chodzi o to, aby kolba była tak zbudowana, iż w chwili ścisłego zetknięcia się policzka z jej górną częścią, zwaną grzebieniem, oko przez to samo znajdowało się we właściwem miejscu naprzeciwko muszki i perspektywy szyny.



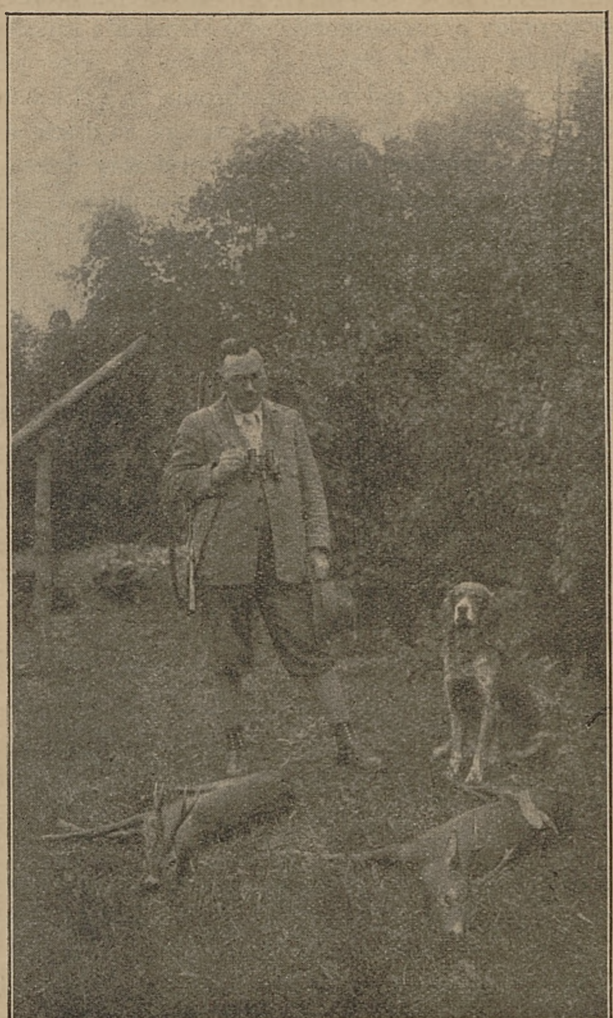
Widok przy strzale przez przeziernik Lyman'a (w perspektywie).

Bardzo łatwo się przekonać, dzięki pewnemu zastanowieniu i na prostych doświadczeniach, iż teorja ta jest najzupełniej słuszna, i to na większe nawet odległości, niżby się wydawało. Pozwolę sobie podać tutaj drobny przykład z własnego doświadczenia. W ostatnich latach doszedłem do dość znacznej wprawy w rozbijaniu butelek i blaszanek rzucanych w lot, z różnych sztućców, ale przedewszystkiem z karabinka Browning kal. 22, zaopatrzonego w przeziernik i muszkę Lyman'a, narysowane powyżej. Jestto sztuka nader pospolita, wymagająca tylko zmarnowania dość znacznej ilości amunicji i uchwycenia pewnych zasad. Do takich latających celów uzyskiwałem wyniki mniej więcej 70%. Pewnego dnia zdjąłem przeziernik i nie rozporządzając wcale szyną, a tylko rzucając okiem po nierównej i wcale ku temu niedogodnej lufie karabinka, spróbowałem strzelać do blaszanek z rzutu. Wyniki nietylko nie zmniejszyły się, ale polepszyły się znacznie, co dowiodło mi niezbicie, że i przeziernik i poprzednio stosowany z jeszcze gorszym skutkiem celownik tylko mi przeszkadzały, gdyż straciłem czas na patrzenie się przez nie. Broń jest składna, strzelec zżył się z nią dzięki częstemu strzelaniu — strzał z rzutu udaje się zupełnie dobrze.

Postarajmy się teraz ocenić względną precyzję takiego strzelania. Blaszanki użyte miały wymiar około 12 × 8 cm. Trafianie zdarzało się na odległości ok. 10 metrów. Stąd prosty wniosek, iż tę samą sztukę możnaby powtórzyć na odległości 100 metrów do celu 120 × 80 cm. lub też na 50 mtr. do celu 60 ×40 cm. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż ruch przedmiotu lecącego (blaszanka wypełniona piaskiem) jest szybszy od zwierzyny biegnącej, zaś z drugiej strony, iż strzały na tle nieba, bez krzaków, drzew, w spodziewanym kierunku i przy ruchu dość jednostajnym są bezwarunkowo łatwiejsze, możemy sobie wytworzyć dość ścisłe wyobrażenie o precyzji rzutowego strzału kulą i zadecydować, że strzał taki może bezwarunkowo być skutecznym do odległości 50 metrów. Jeżeli zaś dodać jeszcze bardzo wiele wprawy, gruntowne zżycie się i przyzwyczajenie do broni oraz wielką jej składność, możemy zrozumieć, iż strzały rzutowe kulą nie są znów tak absolutną niemożliwością i że z punktu widzenia teorji wolno nam bez blagi i bez łaciny myśliwskiej marzyć o strzelaniu do łatwiejszych ptaków kulami.

Czy znamy przykłady wykorzystania tych teoryj? W opowiadaniach — owszem, każdy z nas spotkał się z niem niejednokrotnie, widujemy pozatem niekiedy sztuki trudniejsze, bardziej zbliżone do strzelania ptactwa w lot: trafianie kartofli rzucanych wysoko w powietrze, dublety kulami do lecących przedmiotów i t. p. Pozatem udało mi się zebrać kilka przykładów zbadanych i rzeczywiście autentycznych, które również mogą rzucić pewne światło na to ciekawe zagadnienie.

Zacznijmy od cyrku, w którym widzimy wiele sztuk strzeleckich mogących nas zaintrygować. Pamiętamy, z opowiadania starszych pokoleń, o strzelaniu sławnego Bufalo Bill (Wiliam Cody), który występował w osiemdziesiątych latach zeszłego stulecia po wszystkich cyrkach Europy i Ameryki. Strzelał on, siedząc na galopującym koniu, z karabinu i rewolweru do lekkich kul szklanych, rzucanych w powietrze przez pomocnika, galopującego na innym koniu przed nim. Sztuka ta została wielokrotnie powtórzona przez jego naśladowców; wiemy dzisiaj z całą pewnością, iż wszyscy oni posługują się specjalnymi nabojami, w których niewielka dawka prochu wyrzuca ładunek rtęci. Rtęć tworzy chmurę drobniutkich kuleczek, które na niewielką odległość (5 — 8 metrów) mają dostateczną siłę dla rozbicia cieniutkich ścianek szklanej kuli, a są zupełnie nieszkodliwe o parę metrów dalej. Wszelkie inne sztuki cyrkowe bądź to polegają na takich właśnie nabojach, bądź to nie wykraczają wcale poza ramy tego, co możemy sami wykonać przy pewnej wprawie.



Z podjazdu. Fot. Ant. Laskowski. Wyrobki.

Częściowo legendarna jest historja amerykanina, niejakiego d-ra Carvera, który podobno swego czasu zaprzestał całkowicie strzelania śrutem do ptaków i z nadzwyczajnym skutkiem strzelał kulami. Słyszałem pewne uzupełnienie tej legendy, polegające na tem, iż wymieniony bawił niegdyś w pewnym, , bardzo znanym domu małopolskim i tamże wielokrotnie dowiódł swojej nadzwyczajnej zręczności w strzelaniu kulami.

Na szczęście, kilku specjalistów takiego strzelania, nie zawodowców cyrkowych, lecz myśliwych - ama-

torów, żyje obecnie w Stanach Zjednoczonych, i jeden z nich, p. Kenneth Fuller Lee, podaje w jednym z numerów „American Rifleman'a" swoje uwagi i doświadczenia, wielokrotnie poświadczone przez szereg osób wiarogodnych.

P. Lee przytacza przedewszystkiem metody treningu, pozwalające na dojście do wielkiej sprawności strzelania kulą w lot, które możnaby streścić w postaci 3-ch punktów: dobrać broń bardzo składną, zaopatrzyć ją w przyrządy celownicze Lyman'a, o których wspomniałem powyżej, wreszcie wystrzelić bardzo wielką ilość amunicji przy starannem analizowaniu i rozpamiętywaniu każdego strzału i możliwych przyczyn chybienia. Następnie opowiada on o szeregu sztuczek cyrkowych, uważanych za rozrywkę i dowód wprawy; sztuki te zasługują na wyliczenie: — z auto-browninga kal. 22 trafienie 15-stu piłek tenisowych, wyrzuconych pod rząd, — trafienie monety wielkości 50-cio groszówki rzuconej w powietrze, — umieszczenie 9-ciu kul z tegoż automatu do próżnej, 250-ciogramowej blaszanki w czasie jednego lotu, — z auto-pistoletu kal. 22 dublet do kartofli rzuconych równocześnie, — tryplety z automatu śrutowego do rzuconych równocześnie krążków i t. p. i t. p.

P. Lee nie twierdzi bynajmniej, iż może konkurować w strzelaniu do ptaków z myśliwymi, uzbrojonymi w broń śrutową, twierdzi natomiast, iż do niektórych ptaków (gęsi, kaczki, słonki) oraz do królików osiąga wcale niezły % trafień, a przedewszystkiem czerpie z każdego trafienia zadowolenie bez porównania większe, niż strzelcy śrutowi, gdyż sztuka jest o tyle trudniejsza.

Należałoby tu jeszcze raz podkreślić, iż przy przytaczaniu rozmaitych typów strzału myśliwskiego do ptaków, autor artykułu podkreśla wielokrotnie, iż jego strzelanie polega jedynie na rzucie z doskonale dopasowanych sztucerków i że uważa — po nabyciu wprawę, szczerbinę za zupełnie niepotrzebną, i w większości wypadków wcale jej nie używa.

Istnieje pozatem jeszcze kilka poważnych „zeznań" osób strzelających kulą do ptaków w lot; przytoczyliśmy to jedno, jako najbardziej charakterystyczne. Być może, iż nasi Czytelnicy potrafią z własnych wspomnień i doświadczeń powyższe uwagi uzupełnić, wyjdzie to napewno na korzyść naszych doświadczeń strzeleckich i potrafi może zachęcić niejednego myśliwego, znudzonego strzelaniem śrutem, do spróbowania o tyle szlachetniejszego sposobu pokonania zwierzyny.

Do niniejszego tematu należą właściwie również poczynione przez pewne osoby doświadczenia w dziedzinie polowania na niektóre rodzaje zwierzyny przy pomocy pistoletu. Jest to dział nader ciekawy i pociągający, postaramy się w krótkim czasie poświęcić mu osobny artykuł.

J. PODOSKI.



Z Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

PROTOKUŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO D. 18.IX.1930.

Przewodniczył obradom p. W. Szperling, udział wzięli pp.: jen. K. Fabrycy, dyr. B. Gędziorowski, inż. H. Knothe, C. Lisowski, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, mec. A. Tallen-Wilczewski, J. Żukotyński, M. Tukałło, protokuł prowadzili pp.: J. Bokiewicz i K. Kamieński.

Na porządku dziennym:

1) Zatwierdzenie protokułu z dnia 30 sierpnia i sprawdzenie wykonania uchwał.

2) Sprawa rozpoczęcia prac Komisji Nowelizacyjnej Prawa Łowieckiego.

3) Ustalenie terminu i porządku obrad posiedzenia Zarządu.

4) Sprawy bieżące.

5) Wnioski.

Wydział Wykonawczy przyjął do wiadomości protokuł swego posiedzenia z dnia 30 sierpnia.

Wydział Wykonawczy postanowił w najbliższych dniach zwołać pierwsze posiedzenie Komisji Nowelizacyjnej Prawa Łowieckiego.

Dotychczasowo w skład Komisji tej wchodzili pp.: mec. W. Garczyński, prok. C. Michałowski i mec. A. Tallen-Wilczewski. Uchwalono powołać dodatkowo na członków Komisji pp.: prof. J. Gieysztora, inż. St. Kamockiego i inż. H. Knothego.

Tak uzupełniona Komisja posiada w dalszym ciągu prawo kooptacji.

Powierzono przewodnictwo Komisji Nowelizacyjnej p. mec. Wilczewskiemu, który ze swej strony ustalił termin pierwszego posiedzenia na dzień 23.IX godz. 17.

Wydział Wykonawczy wyraził pod adresem Komisji Nowelizacyjnej życzenie, aby w szczególności zastanowiła się nad następującymi punktami:

1) Sprawy związane z organizacją „Spółek łowieckich" i wydzierżawianiem terenów.

2) Unormowanie terminów ochronnych i zniesienie częściowych (terytorjalnych) różnic w tych terminach.

3) Przedłużenie terminu ochronnego na jelenie i daniele do czasu posiadania przez nie poroży.

4) Możliwe, prawne ustosunkowanie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich i jego delegatów powiatowych i wojewódzkich do państwowych władz administracyjnych.

5) Ustanowienie obowiązku wykupowania patentów na handel zwierzyną.

6) Sprawa rozdziału funduszów osiąganych z wpływów za karty łowieckie.

7) Sprawa rozwiązania Towarzystw prowadzących nieracjonalną gospodarkę łowiecką.

8) Ustalenie minimum kar za wykroczenia przeciw Prawu Łowieckiemu.

Zakwalifikowano do przyjęcia Wojewódzkie Koło Łowieckie w Łucku i postanowiono wystąpić do Zarządu Związku z wnioskiem o zaliczenie tegoż w poczet Towarzystw Związkowych.

W związku z nadesłanym odpisem okólnika starostwa w Żywcu w sprawie obowiązku posiadania kart łowieckich przez strażników łowieckich, niezależnie od pozwoleń na broń, postanowiono wyjaśnić tę sprawę u władz i o wyniku wyjaśnienia powiadomić Dyrekcję Dóbr Żywieckich.

Ponieważ wiele z Towarzystw Związkowych zalega poważnemi sumami w opłacie składek na rzecz Związku, postanowiono najbardziej zalegające Towarzystwa ostrzec przed wystąpieniem na drogę sądową, a w wypadku nieodpowiedzenia, sprawę skierować do sądu. Deklaracja podpisana przez upełnomocnionych członków Zarządu Towarzystw Związkowych, jest dostateczną dla władz sądowych podstawą wyegzekwowania należnych sum.

Wysłuchano sprawozdania p. Lisowskiego z narodowych zawodów strzeleckich we Lwowie, gdzie p. Lisowski występował jako przedstawiciel Związku. Organizacja zawodów mocno szwankowała, a już zawody w strzelaniu myśliwskiem przygotowane były zgoła niefachowo.

Przyjęto do wiadomości podziękowanie Wielkopolskiego Związku Myśliwych za przyznaną przez P. Z. S. Ł. nagrodę na konkursy psów w Iwnie.

Na wniosek Wielkopolskiego Związku Myśliwych Wydział Wykonawczy mianował i postanowił jednorazowo ogłosić w „Łowcu Polskim" p. Andrzeja hr. Kurnatowskiego delegatem Związku na powiat Grodzisk Wlkp, na miejsce p. J. Wichlińskiego, który zrzekł się mandatu.

Zatwierdzono i postanowiono w zwykłym trybie przeprowadzić nominację d-ra Włodzimierza Żarnowskiego (jn.), kpt. lek. wojsk. w Kazuniu na delegata Związku w pow. warsz.

ZABICIE ŁOSIA.

Strażnik łowiecki Łódzkiego Towarzystwa Łowieckiego zawiadomił, że d. 31 sierpnia r. b., bracia Józef i Walerjan Morgiewiczowie, zamieszkali w folwarku Dubienki, gminy Sobakińce, zastrzelili łosia 3-letniego, który wyszedł z lasu obrębu Kotrańskiego, puszczy Bersztowskiej, nadleśnictwa kotrańskiego Dyrekcji Lasów państwowych w Wilnie. Obręb ten jest dzierżawiony przez wspomniane towarzystwo.

Policja skierowała sprawę do starostwa w Szczuczynie.

Na terenie puszczy rzeczonej jest to już drugi wypadek zabicia łosia przez kłusowników, gdyż d. 9 października r. z. kłusownik zabił tam również łosia.

Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich w sprawie tej wystąpił z interwencją do władz.

Kronika myśliwska.

—R.— W dn. 19 i 20 września odbyło się doroczne polowanie na kuropatwy w maj. Wieniec i Brzezie bar. Kronenbergów. Zabito razem kur 803, przy udziale 10 fuzyj. Najlepsze rezultaty mieli p. A Koziełł-Poklewski — 156 oraz p. W. Siemieński i ks. A. Lubomirski po 155. Pogoda dżdżysta, z mocnym wiatrem.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY.

Ś. p. Ludwik Rayski. — We Lwowie zmarł w 47-ym roku życia ś. p. Ludwik Aleksander Rayski, członek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, b. delegat na powiat kołomyjski, st. powiatowy lekarz weterynarji. W okolicach Kołomyi ś. p. zmarły był jednym z nielicznych tam pionierów prawidłowego myślistwa.

Cześć Jego pamięci!

Wiadomości bieżące.

— **Odznaczenie za ochronę łowiectwa.** — W starostwie Skałackiem w Małopolsce odbyło się uroczyste wręczenie odznaki honorowej Małopolskiego Tow. Łow. 8 osobom za zasługi na polu ochrony łowiectwa. Na uroczystości obecni byli m. inn. delegaci Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, pp. Kazimierz Grocholski, inż. Leon Prelicz i hr. Aleksander Zaleski, który wygłosił odpowiednie przemówienie.

Odznaczeni zostali pp.: Franciszek Skotelnicki, leśniczy i zarządca lasu w Ostapiu, gajowy Mikołaj Firuta, gaj. Paweł Dobrowolski, przodownik Michał Kowal oraz posterunkowi: A. Murawski, J. Lipski, K. Wierzbicki i P. Gefreier.

— **Wypadki na polowaniu.** — Pod Łodzią na polach w pobliżu Jeżowa odbyło się polowanie, w którem uczestniczyło kilku myśliwych. Polowanie zakończyło się smutnym wypadkiem, jakiemu uległ inżynier elektrowni łódzkiej, dyr. Dzieniakowski. Po daniu strzału przez jednego z myśliwych, rozsypujący się śrut trafił inż. Dzieniakowskiego w oko, przebijając gałkę. Drugie oko jest również uszkodzone.

P. Władysław Perzyna, mieszkaniec wsi Raszyn pod Warszawą, wybrał się w towarzystwie znajomego sierżanta Leona Turkowskiego na polowanie na kuropatwy. W pewnej chwili zerwało się stado ptactwa i wtedy Turkowski pośpiesznie wymierzył i wypalił. Na nieszczęście p. Perzyna podbiegł pod lufę, wskutek czego cały ładunek ugodził go w klatkę piersiową. Lekarz stwierdził śmierć. Sprawca przypadkowego zabójstwa sam zgłosił o wypadku na posterunku policji. Dalsze dochodzenie prowadzi żandarmerja, do której dyspozycji przekazano T.

— **Niedźwiedzie cygańskie.** — Z powodu wiadomości, że z Węgier mają przyjechać do Polski cyganie z tresowanymi niedźwiedziami, władze ustaliły, że ci znęcają się nad zwierzętami. Niedźwiedzie są bite, drażnione, a nawet przypiekane rozpalonem żelazem. Wobec tego ministerstwo spraw wewnętrznych rozesłało do konsulatów polskich oraz do starostw pogranicznych okólnik z poleceniem niewpuszczania band cygańskich z niedźwiedziami na terytorjum Rzeczypospolitej.

— **Łowiectwo w Poznańskiej Dyrekcji Lasów państwowych** otoczone jest stałą opieką. Rozwinięta wysoko hodowla zwierzyny szlachetnej — jeleni, danieli i sarn, stanowi również w lasach Dyrekcji poważne źródło dochodów i ściąga myśliwych z dalszych nawet okolic kraju. Na wzmiankę zasługuje również wprowadzona przez Dyrekcję na terenie nadleśnictwa Bucharzewo hodowla bobrów w specjalnej fermie, która rozwija się pomyślnie.

— **Wymiary wyżłów.** — Dalsze wymiary wyżląt 2-miesięcznych, o których pisaliśmy w poprzednim n-rze za „Wiad. Weter.", przedstawiają się, jak następuje:

Najwyższa długość krawędzi górnej wyrostka kolczystego obrotnika, mierzona pośrodku, wynosi 55,7, 33,0 i 38,5 mm.

Najwyższa długość trzonu kręgu VIII grzbietowego, mierzona poprzez wierzchołek kłykcia oraz dolną część krawędzi panewki stawowej, sięga: 21, 14,5 i 14 mm., kręgu lędźw. III 28,5, 17 i 17 mm.

Największa długość łopatki, mierzona poprzez górną jej krawędź oraz najdalej w dół wysuniętą część nasady dolnej, wynosi 148,7, 117,7 i 93,0 mm.

Największa szerokość łopatki, mierzona poprzez przedni tylny kąty 73,3, 49,6 i 56,6 mm.

Najmniejsza szerokość łopatki, mierzona poprzez przednią i tylną krawędź w obrębie szyjki łopatki 25,3, 18,7 i 22,4 mm.

Największa długość kości ramieniowej, mierzona poprzez najdalej naprzód wysuniętą krawędź kłykcia przyśrodkowego oraz najbardziej w tył skierowaną część bloku przyśrodkowego, wynosi 190,0, 120,9 i 117,0 mm.

Najmniejsza odległość pomiędzy w tył i w górę wysuniętą częścią krawędi stawowej główki oraz przednią granicą stawową we wnęce łokciowej kości (taśma), wynosi 138,0, 85,0 i 761 mm.

Szerokość nasady górnej kości udowej (wymiar przyśrodkowo-boczny), wynosi 31,3, 30,0 i 41,5 mm.

Największa szerokość (wymiar przyśrodkowo-boczny) nasady dolnej kości udowej 34,7, 25,5 i 30,0 mm.

Największa szerokość trzonu kości (wymiar przyśrodkowo-boczny) po środku długości jej wynosi 12,4, 10,2 i 11,2 mm.

— **Z warszawskiego zwierzyńca.** — W ostatnich czasach stwierdzono tłumne odwiedzanie przez publiczność ogrodu zoologicznego, który ostatnio wzbogacił się w nowe okazy.

W jedną niedzielę, mimo krótkiego dnia, odwiedziło ogród przeszło 8.000 osób, co stanowi w r. b. ilość rekordową.

Warszawski ogród zoologiczny ma szczęście do lwów. W ciągu roku urodziło się w nim 10 młodych lwiątek. Jest to przybytek bardzo cenny. Zawdzięcza go ogród zoologiczny lwicom „Sylwji" i „Dianie" oraz samcowi „Apollinowi". Na wieść o tak licznym dobytku zgłosiło się kilka oferentek na kupno małych lewków. Dyrektor Ogrodu jednak nie zgadza się na to. Proponuje tylko oddanie ich „na wychowanie". Do roku jest to możliwe bez ryzyka. Później lwiątka musiałyby powrócić za kraty.

Szanse na dobytek tygrysi przedstawiają się beznadziejnie. Para tygrysów jest b. piękna, ale jakoś przychówku ogród nie może się doczekać. Tygrysica ma już „swoje lata".

Przybyły za to małe misie. I na nie zdarzają się oferenci. Zwłaszcza małe niedźwiadki znajdują wielu amatorów. Taki miś jest droższy w cenie, niż duży.

Wiadomości zagraniczne.

— **Znakowana kaczka.** — P. H. Itzen zabił w Norden (Fryzji wschodniej) kaczkę, która miała obrączkę aluminiową z angielskim napisem: „Inform. Witherby Hich Holborn London 76180".

— **Karty myśliwskie w Prusach.** — W ostatnim sezonie myśliwskim (od 1 kwietnia 1929 roku do d. 31 marca 1930 r.) wydano w Prusach 143,900 kart myśliwskich rocznych, 26,250 — dziennych, 6,597 —bezpłatnych, 510 dla cudzoziemców. Razem 117,527, podczas gdy w poprzednim sezonie myśliwskim wydano kart takich 209,230, czyli o 91,973 mniej wydano obecnie. Dochód z tego uczynił 5,307,916 marek.

— **Próby polowe na filmie.** — Między prezydjum Austrjackiego klubu hodowców spanieli a jednym z koncernów filmowych toczą się rokowania co do sfilmowania prób polowych. Po dokonaniu zdjęć zostaną one włączone do kroniki filmowej, ukazującej się na ekranach jako nadprogram. Film ten obiegnie wszystkie kraje, stanowiąc wielce pożądaną propagandę w dziedzinie kinologji.

— **Myśliwi francuscy.** — Gazety francuskie przytaczają dane cyfrowe o dochodach, które przynoszą państwu myśliwi. Polowaniem zajmuje się we Francji około półtora miljona ludzi rocznie. Myśliwi płacą specjalny podatek za broń palną, który stanowi około 70.000.000 fr. rocznie, drugie tyle przynoszą pozwolenia na prawo polowania. Rejestracja myśliwych przynosi cztery miljony, podatek od ochrony zwierzyny — 2 miljony, cło od wywozu — 3 miljony. Dochody państwa ze sprzedaży prochu dają 50 miljonów. Podatek od psów myśliwskich — 12 miljonów i wreszcie tenuta dzierżawna za lasy — 130 miljonów. Razem około 400 miljonów franków. Według opinji gazet francuskich, myśliwskie dochody państwa wynoszą więcej niż pół miljarda franków rocznie.

Wiadomości handlowe.

MISTRZ POLSKI O NABOJACH Z. A. „POCISK" S. A.

Fabryka „Pocisk" otrzymała następujące pismo:

„Biorąc czynny udział w konkursach strzeleckich ostatnich dwu lat, używałem stale naboi firmy „Po-

cisk". W ten sposób miałem możność należytego wypróbowania ich jakości.

Stwierdzić muszę, że odniesione przezemnie sukcesy zawdzięczam również i właściwościom ładunków tej firmy.

Według mnie bowiem, posiadają naboje firmy „Pocisk" następujące, niezrównane zalety:

1) kolosalną gęstość pokrycia i

2) dużą penetrację przy łagodnem oddaniu strzału, który absolutnie nie męczy.

Na dowód tego przytaczam strzelanie w Rembertowie i Zoppotach. W ciągu czterech dni w Rembertowie i trzech dni w Zoppotach oddawałem dziennie około 400 strzałów, nie odczuwając przytem najmniejszego zmęczenia.

Z podobną, dodatnią opinją naboi „Pocisk" spotykałem się kilkakrotnie w sferach strzelców pierwszorzędnych. Przytoczę tu oświadczenie świetnego strzelca, pana Henniga, który w Zoppotach na sto krążków możliwych rozbił 99, publicznie oświadczając, że wynik powyższy zawdzięcza jedynie nabojom firmy „Pocisk".

Poczuwam się tedy do miłego obowiązku zakomunikowania powyższego Zarządowi Zakładów Amunicyjnych firmy „Pocisk", jako wyraz mojego najgłębszego uznania.

(—) JÓZEF KISZKURNO

Maj. Brudzew, dnia 29.IX.30 r.

— **Ceny dziczyzny.** — Z powodu dużego popytu w Berlinie, tendencja cen sarn, danieli, jeleni i kuropatw była w początkach bieżącego miesiąca bardzo mocna. Jedynie bażanty miały słabą tendencję. Zanotowano: Jelenie stare I gatunku 0,52 do 0,58 m., II gat. — 0,40 do 0,45, młode I g. — 0,65 do 0,70, II — 0,50 do 0,55. Sarna I — 1,25 do 1,30, II — 1,00 do 1,10. Dziki młode — 0,55 do 0,60, stare — 0,40 do 0,45. Kuropatwy młode duże — 1,70 do 1,80, średnie — 1,25 do 1,45, stare — 1,25 do 1,30.

W Wiedniu zanotowano ceny hurtowe: jelenia ze skórą 120 do 180 groszy austrjackich za kilo, sarny — 220 do 240. Ceny detaliczne: Jelenia, zależnie do części dziczyzny — 250 do 750 za kilo, sarny — 260 do 550, kuropatwa młoda — 150 do 280 za sztukę, stara — 100 do 150, bażant — 250 do 600, zając ze skórką — 600 do 900, bez sk. — 500 do 800, młody 150 do 200.

— **Ceny skórek.** — Na rynku w Berlinie tendencja w początkach b. m. była słaba. Horoskopy co do nowego sezonu nie są jeszcze ustalone. W hurcie zanotowano: skóra sarnia, letnia — 2.50 m. za ½ kilo, jesienna — 1,75, majowa — 1,40, zimowa — 1,00. Dziki królik letni — 0,05, jesienny — 0,10, zimowy— 0,15, domowy — 0,20, kuśnierski — 0,75. Wiewiórka letnia — 0,05. Zając letni — 0,20 do 0,25. Łasica — 0,70, gronostaj — 2,50. Borsuk średni — 3,00, duży— 5,00. Jeleń letni — 0,35, daniel — 0,50.

Chrońcie dzieci

oraz dorosłych przed chorobami gardła, anginą i grypą. Właśnie teraz w porze jesiennej, gdy temperatura i pogoda ulegają stałym zmianom, należy zwracać szczególnie baczną uwagę na zdrowie. Każdy, kto bierze udział w zebraniach, odwiedza teatry lub kina, podróżuje, lub wogóle przebywa w lokalu odwiedzanym jednocześnie przez wiele osób, jak się to dzieje zwłaszcza z dziećmi szkolnemi, powinien od czasu do czasu zażyć pastylkę Panflaviny. Pastylki te, wyróżniające się dobrym, czekoladowym smakiem, należy powoli przeżuwać w ustach. Ochronią one nas niezawodnie przed niebezpieczeństwem zakażenia chorobami gardła i grypą. Pastylki Panflavin są do nabycia we wszystkich aptekach.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 8; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 3 zł. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za powtórny numer — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia—płatne zgóry—po 10 gr. za wyraz; grube litery—po 20 gr., najmniejsze—2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. **ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 7-98.**

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stow. Łowieckich.**

Myśliwy z browningiem.

— Jak się ma pani Marcinowa? Czy zastałem męża?
— Poszedł na polowanie.
— Z dubeltówką?
— Nie; z „browningiem".

Antyteza wielbłąda.

O znanym „szmirusie" mówią, że jest antytezą wielbłąda.
Ten bowiem może pracować cały tydzień bez picia, a „szmirus" może pić cały tydzień bez pracy.

Dowód wścieklizny.

— Panie doktorze, przyprowadziłem swego psa podejrzewanego, że ma być wściekły.
— Z czego pan to wnosi?
— Pokąsał wczoraj moją teściową.
— No, to jeszcze nie dowód wścieklizny.
— Ja wiem, on też był zdrów, ale teraz się na pewno wściekinie. Pan chyba nie zna tej baby.

Myśliwy, czy automobilista?

Rozmowa przyjaciółek:
— Mąż kochanej pani musi być zawołanym myśliwym. Tak często go widzę w otoczeniu zabitej zwierzyny.
— Powiem pani w zaufaniu, że z niego lepszy automobilista, niż myśliwy: Z polowania wraca zwykle z pustemi rękami, ale gdy wyjedzie autem, to niemal zawsze przywozi jakieś trofea: przejechaną gęś, kaczkę lub kurę, a raz nawet przywiózł sporego prosiaka.



Z prawdziwego polowania.

— Jakżeż tam udało się polowanko?

— Pod psem!... Cztery razy biłem całą pulę i zawsze chybiłem!

— No, ale któż był królem polowania?

— Jak zwykle, Zdziś... Wygrał ośmset pięćdziesiąt złotych.



Polowanie a krowy.

— A czemu ty, Wojtek, dziś krów nie wypędzasz na pastwisko?

— Boję się, bo to przyjechało z miasta trzech panów na polowanie.

Nie—dzielny nemrod.

— P. schodzi „na psy".

— Bardzo mi przykro.

— Czy go lubisz?

— Nie, ale — psy lubię.

W ogrodzie zoologicznym.

Dziadek: — Nie bój się Waciu! Ten tygrys tak się rzuca i ryczy, bo zaraz ma jeść dostać.

Wnuczek:: — Nie boję się, dziaduniu, tatuś przecież zawsze przed obiadem to samo robi.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.